



Wywiad z kierownikiem Zakładu Konserwatorstwa
WSP UMK dr hab. Januszem Krawczykiem, prof. UMK

Na początek pytanie podchwytliwe. Czy więźba dachowa to coś fascynującego?

Pytanie jest podwójnie podchwytliwe, bo Zakład Konserwatorstwa „więźbami stoi”. Człowiek, który stworzył potęgę tego zakładu – mowa o prof. Janie Tajchmanie – zaczynał swoją drogę naukową nie od badania fundamentów budynków, ale od więźby. I stworzył szkołę konserwatorstwa, w której traktowano więźbę jako integralną część zabytku architektury. A trzeba wiedzieć, że jest to twór fenomenalny pod względem konstrukcyjnym. Jego formy, przestrzenność, perspektywy jakie się otwierają, ale i czasami poczucie klaustrofobicznego zagrożenia – to wszystko w kontakcie z więźbą jest. Można ją traktować nie tylko jako zabytek techniki czy integralną część obiektu architektonicznego, ale także w kategoriach sztuki abstrakcyjnej. Można widzieć w niej konstrukcję przestrzenną, która otwiera się na interakcje z odbiorcą.

Czyli jednak więźba może być czymś ciekawym. Przeciętny młody człowiek kończący liceum czytając o Zakładzie Konserwatorstwa widzi, że będzie się uczył historii detalu stolarskiego, konstrukcji ciesielskich, stolarki okiennej. Trochę jakby szedł na praktyki do stolarza. Czym więc właściwie jest konserwatorstwo na UMK?

Konserwatorstwa nie można zawęzić do historii technik budowlanych. Zaczniemy od tego co jest przedmiotem naszych zainteresowań. Jest nim zawsze przedmiot materialny, ale materialność nie wyczerpuje całego sensu istnienia tego przedmiotu. To, co decyduje o jego niepowtarzalności, to fakt, że jest on równocześnie nośnikiem znaczeń. Właśnie dlatego program studiów na konserwatorstwie musi być wielodyscyplinarny. Chcemy nauczyć studentów patrzenia na przedmiot ochrony konserwatorskiej z różnych perspektyw. Zależy nam, by poznając materialną strukturę jakiegoś reliktu przeszłości, zadawali sobie pytanie, jakimi znaczeniami relik ten „owocuje” w danym kontekście kulturowym.

Ale to jest dopiero początek bajki, bo byłoby bardzo prosto, gdyby ten materialny nośnik nie zmieniał się w czasie, a oczekiwania odbiorców były zawsze takie same. Prawda jest o wiele bardziej złożona. Materialny nośnik ulega zmianom. Natura go „podgryza”, ludzie go odnawiają, przekształcają, konserwują. Przedmiot zmienia się w czasie jak żywy organizm. Odbiorca też się zmienia - jego wiedza, oczekiwania, potrzeby... Zmieniają się więc i znaczenia nadawane przedmiotom. Konserwatorzy są tego świadomi, wiedzą, że są pośrednikami między relikami przeszłości, a odbiorcami. Wiedzą, że uczestniczą w procesie interpretowania przeszłości. W tych interpretacjach nie powinno jednak być dowolności,

decyzji podejmowanych pod wpływem osobistych przekonań czy ambicji. Dlatego właśnie w swoim działaniu konserwatorzy odwołują się do metod postępowania naukowego.

Wielokrotnie pada pytanie czym się właściwie różni konserwatorstwo od konserwacji?

W centrum zainteresowań *konserwatorstwa* jest nie tylko materialny relikw przesłości ale i jego odbiorca. Tak szerokiej perspektywy nie mamy w przypadku kierunku *konserwacja i restauracja dzieł sztuki*. Adeptci tego kierunku koncentrują się na tych wytworach człowieka, które są już uznane za dzieła sztuki. Natomiast my, na konserwatorstwie nie myślimy tymi kategoriami. O wiele bliżej jest nam do pojęcia „zabytku” czy „dobra kultury”. Albo jak u prof. Krzysztofa Pomiana – „semioforu”, czyli materialnego nośnika znaczeń. Interesują nas wszystkie wytwory człowieka, które ze względu na swoje wartości i znaczenia są chronione przed zniszczeniem. W naszym społeczeństwie cennymi obiektami stają się nie tylko wybitne dzieła rzeźby czy malarstwa, ale i chłopskie zagrody, kolejowe wieże ciśnienia, historyczna stolarka okienna, nawierzchnie ulic i obiekty przemysłowe. Co więcej, coraz częściej dziedzictwo kulturowe rozpatrywane jest łącznie z przyrodniczym, co znajduje odzwierciedlenie np. w pojęciu „krajobrazu kulturowego”. Przedmiotem zainteresowań konserwatorstwa są wszelkiego typu relikty, które człowiek współczesny odkrywa jako źródło wiedzy o przeszłości. Nie muszą mieć wcale charakteru artystycznego, niekiedy wystarczy tylko, że pokryte nawarstwieniami i patyną „odmierzają czas”, jaki nas dzieli od tego, co było.

Czyli nie każdy zabytek musi być dziełem sztuki?

Ależ absolutnie nie! Pojęcie zabytku jest o wiele szersze. Chociażby więźba, od której zaczęła się nasza rozmowa. Analizując jej budowę dochodzimy do wiedzy o dawnych technikach. One także są naszym dziedzictwem, tyle że niematerialnym. Jeśli przygotujemy naszych studentów do tego, żeby potrafili zrozumieć istotę zastosowanych rozwiązań konstrukcyjnych w tego typu obiektach, to korzyść z tego jest podwójna. Po pierwsze ci ludzie będą mogli w przyszłości skuteczniej ochronić zabytkowe więzby przed zniszczeniem. Po drugie, przekazanie wiedzy o historycznych technikach pasjonatom, których znajdziemy w każdym pokoleniu, to najlepszy sposób, by niematerialne dziedzictwo techniki uchronić przed zapomnieniem, albo brakiem zrozumienia.

Czy uczyć na konserwatorstwie tego, że warto chronić rzeczy, które przenoszą idee, myśli i emocje ludzkie?

Dokładnie tak. Andre Malraux, francuski pisarz, archeolog i minister kultury w rządzie gen. de Gaulle’a napisał kiedyś, że potrzeba ochrony relikw przeszłości wywodzi się z egzystencjalnego buntu przeciwko przemijaniu i zapomnieniu. Jesteśmy w stanie ocalić w nas poczucie ciągłości, tożsamości, tylko jeżeli będziemy pamiętać o przeszłości. Nawet o tej bolesnej, o tej, do której nie zaprowadzi nas ani pojęcie „dzieła sztuki” ani nawet „dobra kultury”. Takim przykładem jest Auschwitz. To nie jest „dobra kultury”. To przekleństwo kultury i właśnie dlatego nie wolno o nim zapomnieć. W pamiętaniu nie może też zabraknąć

miejsca dla codzienności. Chronimy nie tylko zabytki architektury monumentalnej. I tu znowu możemy powrócić do przykładu z zabytkową wieżą. Przyjmijmy, że tworzy ona drewniany szkielet dachu jednej z toruńskich kamienic. Losy tej budowli w sposób nierozzerwalny splatają się z kolejnymi pokoleniami jej mieszkańców. John Ruskin, który już w połowie XIX wieku zwracał uwagę na konieczność ochrony zabytkowej architektury mieszkalnej (nawet tej zwyczajnej, pozbawionej wartości artystycznych) widział ten problem w skali nieomalże religijnej odpowiedzialności. *„Nasz Bóg zamieszkuje zarówno w domu, jak i w niebie; jego ołtarz znajduje się w każdej ludzkiej siedzibie i powinniśmy o tym pamiętać, gdy niszczymy ją bez zastanowienia lub rozsypujemy jej popioły”*. Nie godził się na niszczenie relikwów przeszłości, bo wiedział, że dzięki nim łatwiej pamiętać o ludziach.

Skoro mówimy o XIX wieku, to zapytam o coś co od wielu lat mnie zastanawia. Przez dziesięciolecia uznawano w Polsce, że XIX-wieczne kamienice nie są zabytkami, nie są warte ochrony. Czy to właśnie ten sposób myślenia spowodował, że po wojnie zburzono u nas tyle pięknych elementów zabudowy miejskiej?

W latach 60. i 70. ubiegłego wieku w polskim konserwatorstwie obowiązywała pięciostopniowa klasyfikacja obiektów zabytkowych. Chroniono wówczas przede wszystkim dzieła architektury monumentalnej. Często przyjmowano też, że im coś starsze, tym bardziej wartościowe. Nawet w Toruniu mamy świadectwa prac restauratorskich prowadzonych zgodnie z tym przekonaniem. Niektóre kamienice na toruńskiej starówce można określić jako „preparat konserwatorski”. Gdy patrzymy na ich nowożytnie fasady, dostrzegamy „odkrywki” odsłaniające np. fragment gotyckiego portalu. Tak jakby ówcześni konserwatorzy chcieli powiedzieć, że *„ten dom tak naprawdę jest starszy niż się wydaje”*, starszy – czyli bardziej wartościowy.

Dzisiaj łatwiej nam przyznać, że nawarstwienia mogą być cenniejsze niż pozostałości stanu pierwotnego. Nie uważamy, że czas powstania jakiejś budowli powinien być kryterium przesądzającym o uznaniu jej za zabytek. W świetle ustawy z 2003 r. do rejestru mogą być już wpisywane obiekty z okresu socrealizmu. Ramy czasowe ochrony jeszcze się poszerzą gdy przyjmiemy koncepcję dóbr kultury albo dziedzictwa. W ubiegłym roku na konferencji konserwatorskiej ICOMOSU, która odbyła się w paryskiej siedzibie UNESCO przedstawiono referat o dziedzictwie architektonicznym Kinszasy, stolicy Demokratycznej Republiki Konga, państwa które uzyskało niepodległość w latach 60. XX w. Chroni się tam budynki z okresu kolonialnego nie przez nostalgię za belgijskim panowaniem i nie dla ich wartości artystycznych. Stwierdzono, że dla mieszkańców dawne budowle są ważnymi punktami odniesienia. Pomagają zachować orientację na ogromnym obszarze tej prawie 10-cio milionowej aglomeracji miejskiej. Budynki te pomagają także odnaleźć się w czasie współczesnym, bo ich modernistyczna forma przywołuje przeszłość, a bez niej nie byłoby teraźniejszości.

Mówi pan o UNESCO. Toruńskie konserwatorstwo ma bardzo szerokie kontakty światowe. Wasi ludzie często występują w charakterze międzynarodowych ekspertów. Rodzi się pytanie natury sportowej. Czy myśl konserwatorska idąca z Torunia jest lepsza od zagranicznej?

Pod wieloma względami na pewno tak. Warto jednak podkreślić, że pracownikom Zakładu Konserwatorstwa zawsze towarzyszyło przekonanie, że to, co robią powinno służyć zabytkom i ludziom. Konserwatorstwo powinno wyrastać na gruncie kultury, z której się wywodzi. Może to kontrowersyjne co powiem, ale jestem przeciwny globalnej perspektywie patrzenia na dziedzictwo. Bo jak będziemy to rozpatrywali z wyżyn UNESCO czy innej światowej organizacji, to w jakimś stopniu będziemy musieli abstrahować od realiów kultury, z której się wywodzimy. Taka postawa zakłada przyjęcie punktu widzenia kogoś niemożliwego. Nie wyobrażam sobie człowieka, który utożsamia się z wszystkimi kulturami tego świata. A chronić trzeba „dla kogoś”, kogo się zna – sąsiada, dzieci, krewnych, znajomych ze szkoły. Albo dla przyszłych pokoleń, w nadziei, że nas zrozumieją. W dobie fascynacji bogactwem innych kultur powraca pytanie o wartość rodzimych tradycji. Świadome konserwatorstwo daje poczucie ciągłości i zakorzenienia.

Konkretne pytanie. Zajmujecie się ochroną zespołów miejskich, parkowych, pałacowych. Ale stawiacie też duży nacisk na ochronę dziedzictwa techniki. Czy student tego też się u was uczy?

W ostatnich latach wyraźnie wzrosła ranga przedmiotu „dziedzictwo techniki”. Prace zaliczeniowe to małe monografie wybranych obiektów. Studenci mogą się poczuć jak prawdziwi odkrywcy. Bo jakże często mijamy jakiś stary tartak czy opuszczone budynki nieczynnej cukrowni i do głowy nam nie przyjdzie, że to może być coś wartościowego. A zajęcia z tego przedmiotu otwierają oczy, że to prawdziwe skarby. Nie wystarczy jednak samo odkrycie, trzeba jeszcze przekonać decydentów, że warto wydać pieniądze na ochronę. Na przykład zabytkowa zajezdnia tramwajowa ma szanse przetrwać tylko wtedy, jeśli zaistnieje w obiegu kultury współczesnej, jeśli znajdziemy dla niej odpowiednią funkcję i oddamy w ręce odpowiedzialnego użytkownika. Tego też uczymy na konserwatorstwie.

Czy kiedyś przed absolwentami konserwatorstwa UMK, za 30 lat, stanie konieczność podjęcia decyzji o tym, czy chronić bloki na osiedlu Rubinkowo?

Na którymś z ostatnich wykładów mówiłem o tych współczesnych koncepcjach konserwatorskich, w świetle których nie tylko substancja, ale i układ urbanistyczny jest nośnikiem wartości kulturowych. Zgłosił się wtedy jeden ze studentów i zwrócił uwagę, że taką wartość ma właśnie Rubinkowo, osiedle pomyślane jako urbanistyczna całość. I teraz pytanie – jak to chronić? Jako założenie, jako ideę z wyłączeniem „dziedzictwa” w postaci bloków? Przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie odpowiedzieć na te pytania.

(wywiad przeprowadził: Jarosław Jaworski)